

## DREWNO NA OPAŁ

Wyszedłem przed dom i zobaczyłem Gustawa. Stał nieruchomo przy płocie, patrząc uważnie w jednym kierunku, jak gdyby zamysłony, ale jednocześnie czujnie kontrolujący otoczenie. Gustaw miał przeszło siedemdziesiąt lat, jednak wcale na tyle nie wyglądał. Szpakowate włosy i prosta sylwetka pozwalały przypuszczać, że jest przynajmniej dziesięć lat młodszy. Praca w polu i w lesie na wyrębie pozwoliła mu utrzymać fizyczną kondycję, która przydawała się jeszcze teraz w dorywczych pracach podejmowanych nie z potrzeby zarobku, bo miał się dobrze, ale z wrodzonej łapczywości na dodatkowe pieniądze. Podniosłem rękę na powitanie, Gustaw stał dalej nieruchomo jak słup soli, co było jednym z jego licznych trików, wprawiających jeszcze teraz w zakłopotanie znajomych i sąsiadów.

– Nie ruszałem się, bo nie chciałem, żebyś mnie zauważył – powiedział poważnym głosem i zachichotał. Uścisnęliśmy sobie ręce. Uścisk ręki Gustawa był szorstki i mocny, ale różniący się niepowtarzalnie od uścisku innych dłoni. Powodował to brak kciuka u prawej ręki, wynik niefortunnej zabawy toporkiem w dzieciństwie. Na początku znajomości nie mogłem się do tego przyzwyczaić, ale po latach nie robiło to już na mnie żadnego wrażenia. Szare rozbawione oczy patrzyły z uwagą, a ja wiedziałem natychmiast, że polowanie się zaczęło, i Gustaw, jak pies gończy wietrzący zwierzynę, okrąża powoli kolejny interes, mający przynieść małe albo duże zyski.

– Ładna pogoda – zauważył i patrzył dalej na mnie, czekając na zainteresowanie i pytania.

– Ładna – odpowiedziałem, przeciągając moment rozpoczęcia właściwej rozmowy na interesujący go temat.

Nie, nie zapytam o nic, niech sam zacznie.

– Posadziłeś nowe drzewka – kontynuował Gustaw z nadzieją.

– Tak – odpowiedziałem krótko.

– Nieźle, nieźle – zamamrotał i zapadła cisza, a ja po chwili zacząłem się śmiać.

– Z czego się tak śmiejesz? – zapytał, i widać było, że bardzo go męczy ta powierzchowna rozmowa i brak zainteresowania z mojej strony. Poddąłem się i zapytałem wprost:

– Co się stało, nowe wiadomości?

Szare oczy błysnęły i podziękowały za postawione pytanie.

– Twój sąsiad splajtował, działka i dom będą zlicytowane, za dwa tygodnie w ratuszu o godzinie dziewiętej.

– Niewiarygodne! – krzyknąłem ze zdziwienia, a Gustaw rozkoszował się moim zaskoczeniem.

Faktycznie, moi sąsiedzi, mając około dwóch tysięcy metrów kwadratowych ziemi, nie dbali o nic, dom zamieniał się pomału w ruinę i należało przypuszczać, że przyczyną tego stanu rzeczy był brak środków finansowych. Z drugiej jednak strony to młode małżeństwo musiało mieć się raczej dobrze. Maciej pracował jako taksówkarz, a Karolina wychowywała dwójkę dzieci z pomocą teściów i rodziców. Z ostatnich rozmów prowadzonych przez płot nie wynikało, że zanosi się na kryzys. Ci młodzi sąsiedzi byli dla mnie wygraną na loterii. Nie prowadząc żadnych prac w domu i ogrodzie, nie hałasowali kosiarką do trawy, nie używali piły łańcuchowej, nie stukali młotkiem, nie zakładali mocnych reflektorów w strachu przed złodziejami, osłepiających otoczenie, nie słuchali głośnej muzyki i zachowywali się tak, jakby ich w ogóle nie było. Już wyobrażałem sobie, po zakończonej licytacji, nowych właścicieli z psem, kotem i trójką wrzeszczących dzieci. Już słyszałem ryk maszyn budowlanych rozwalających stary dom, rżenie pił łańcuchowych ścinających stare drzewa, tworzące zieloną sąsiedzką granicę, dającą poczucie osłony i bezpieczeństwa, stuk maszyn kładących chodniki i warkot samochodów jeżdżących tam i z powrotem przed moim nosem.

– Jak chcesz, to możemy tam wejść. Nie musisz pytać o pozwolenie, obiekty wystawione na licytację obejmują inne prawa – zaproponował Gustaw.

– Ale tam, przed domem, stoi ich samochód – zaproponowałem.

– Nie szkodzi, że stoi, oni już zwiali do rodziny. Zobacz, jak tu pusto.

Otworzyliśmy furtkę i weszliśmy do środka. Dookoła drewnianego domu z odpadającą płatami od ścian ciemnobrązową farbą poniewierały się porozrzucane plastikowe butelki. Pod ścianami leżało w stosach niechlujnie pocięte drzewo, które, nie będąc przykryte przed deszczem, ściemniało od pochłoniętej wody, zachodząc pomału pleśnią i mchem. Pod oknem wałyły się zwoje starych kabli, stosy mokrych gazet i gromadzone od wielu dni worki ze śmieciami. Na dawnym trawniku piętrzył się stos mebli ogrodowych z łuszczącą się białą farbą. Gustaw chciał przejść dookoła domu. Nie było to jednak takie łatwe, ponieważ moi sąsiedzi, mając psa, postawili labirynt ogrodzeń i furtek, trzymających się co prawda tylko „na jednym gwoździu”, ale utrudniających skutecznie poruszanie się. Po drugiej stronie domu otworzył się widok na łąkę zrytą kretowskiemi i zarośniętą pokrzywą i ostem.

– Katastrofa – zauważył Gustaw i szedł dalej. Schodząc do strumienia, minęliśmy po drodze starą porzuconą kosiarkę do trawy i wrak dostawczego samochodu. Na dole stała rozwalająca się szopa z suchym drewnem.

– Zawracamy – powiedział Gustaw i skierował się w stronę domu. Pieczołowicie sprawdzał, czy przypadkiem nie pozostawiono otwartych drzwi i okien. Obejrzelśmy jeszcze garaż i leżące przed jego drzwiami narzędzia ogrodnicze, po czym, nic nie mówiąc, skierowaliśmy się do wyjścia. W drodze powrotnej Gustaw rozgadał się trochę, rozważając pomysł kupna tej nieruchomości za niską cenę i związane z tym spekulacyjne możliwości.

– A ty, nie chciałbyś kupić? – zapytał. Oczywiście nie byłem tym zainteresowany, ale rozumiałem jego podniecenie.

– Mógłbyś chociaż odkupić za tanie pieniądze drewno na opał z tej szopy – powiedział.

Pomysł nie był zły. Faktycznie, miałem kominek, a zapas drewna musiał być ciągle uzupełniany. Może mógłbym sąsiada przycisnąć i kupić opał za tani grosz. Wyszliśmy na drogę. Zaproponowałem kawę, ale Gustaw był już myślami w ratuszu i u notariusza. Prowadzenie dalszej rozmowy nie miało sensu.



Rzeczywiście, przez najbliższe trzy dni nie było widać u moich sąsiadów śladu żywego ducha. Trochę miałem do nich żal, że nie podzielili się ze mną tą smutną wiadomością plałty i że się nie pożegnali, wyjeżdżając. Zналиśmy się ostatecznie parę dobrych lat. Na czwarty dzień zauważyłem w oknach światło. Parę razy przejechał samochód. Sąsiedzi wrócili. Do licytacji pozostał jeszcze tylko tydzień. Powoli przymierzałem się do rozmowy o drewnie na opał. Chciałem to elegancko załatwić i wyrazić jednocześnie ubolewanie z powodu zaistniałej sytuacji. Karolina była teraz cały czas w domu, a więc któregoś dnia zebrałem się na odwagę i w ciepłe słoneczne popołudnie zapukałem do drzwi.

Karolina, korpulentna blondynka o miękkich rysach twarzy, otworzyła drzwi i spojrzała na mnie pytająco. Fakt faktem, moje kontakty towarzyskie z sąsiadami nie były zbyt bogate. Duża różnica wieku (Karolina była młodsza ode mnie o prawie trzydzieści lat), brak czasu i inne zainteresowania nie sprzyjały głębszemu rozwojowi znajomości.

– Dzień dobry – bąknąłem. – Co słycać?

– O, wszystko po staremu – odpowiedziała, uśmiechając się, ale nie zapraszając do środka, być może ze względu na nieopisany bałagan w domu.

– Jak dzieci?

– W porządku, ale co się stało, że do nas przyszedłeś?

– No wiesz, jest mi bardzo przykro z powodu waszych trudności – powiedziałem, poruszając wreszcie właściwy temat i szukając jednocześnie odpowiednich słów związanych z dalszą konwersacją.

– Jakich trudności? – zapytała.

– Macie teraz trudną sytuację, koszty przeprowadzki, nie wiadomo, ile przyniesie licytacja.

Karolina słuchała z coraz większą uwagą moich wynurzeń, i widać było, że niewiele z tego wszystkiego rozumie. Na końcu mojego monologu zauważyłem na jej twarzy cień niepokoju, a potem strach i zwątpienie.

– Maciek nic mi o tym nie mówił. Dom jest wystawiony na sprzedaż? Nie, to nieprawda! Nie, nie...

Poczułem, że wplątuje się w bieg rodzinnych zdarzeń moich sąsiadów, tracąc kontrolę nad przebiegiem wypadków.

– A zatem, chcesz od nas odkupić drewno na opał? – zapytała jeszcze raz, i widać było, że z trudnością panuje nad sobą.

– Tak, teraz przyda wam się każdy grosz – odpowiedziałem obłudnie. – Ale proponowałbym najpierw porozmawiać z mężem.

Karolina patrzyła na mnie dużymi przerażonymi oczami i widać było, że tysiąc myśli przebiega jej w kosmicznym tempie przez głowę. Katastrofa finansowa, licytacja domu i działki, może jeszcze dalsze spłaty pieniężne, o których się nic nie wie, to było dla niej trochę za dużo. Poczułem się głupio i przeklinałem w myślach Gustawa za te jego „nowe wiadomości”.

Kupowanie drewna na opał od zbiedniałych sąsiadów nie było najlepszym pomysłem. Wykorzystywanie niedogodnej sytuacji, żeby wytargować niską cenę? Nie, to było trochę poniżej mojego poziomu. Ale historia, co mnie podkusiło, żeby się w to wplątać.

Karolina zaczęła pomału dochodzić do siebie. Była ostatecznie kobietą stojącą mocno na ziemi i mającą realne podejście do życia. Strach zaczynał się przeradzać we wściekłość.

– A więc będziemy zlicytowani za dwa tygodnie? – zapytała mocnym głosem.

– Tak.

– W ratuszu, w sali numer dwa?

– Tak – odpowiedziałem, tracąc coraz bardziej pewność siebie.

– Dobrze, muszę najpierw porozmawiać z mężem.

– Oczywiście, jak będziesz czegoś potrzebować, to służę pomocą – zaproponowałem. – Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała cicho, ale widać było wyraźnie, że jest zdenerwowana i drapieżna.

Wycofałem się szybkim krokiem. Wieczór minął spokojnie. Wyszedłem nawet na mały spacer. Starałem się zapomnieć o tej przykrej dla mnie rozmowie. Księżyc wybiegł na niebo i przesuwiał się pomału w kierunku ciemnej linii lasu. Było cicho i przytulnie, jak to zwykle w lipcu. Zapaliłem fajkę, rozkoszując się dobrym smakiem tytoniu. Są w życiu takie chwile, kiedy nagle, bez powodu, z niczego, czujemy przechodzące przez nas fale szczęścia i zadowole-

nia. Właśnie teraz odczułem to coś, to nieokreślone, to co wyzwała nas często z szarej codzienności i kłopotów dnia codziennego. Fantastycznie piękna przechadzka. Po niecałej godzinie wróciłem do domu i po zjedzonej kolacji pomału szykowałem się do snu. Usłyszałem nagle łomotanie do drzwi. Zwykle przychodzący do mnie goście używają dużego mosiężnego dzwonka przy furtce albo małej kołatki na drzwiach. To nie był jednak dzwonek ani kołatka, to było nieprzerwane walenie pięściami w moje frontowe drzwi. Wyjrzałem przez okno, ale niewiele mogłem zobaczyć. Walenie nie ustawało. Atmosfera pięknego wieczoru rozprysła się na tysiące kryształowych odłamków i pozostał tylko głuchy odgłos uderzeń w moje pięknie fornirowane drzwi wejściowe.

Zszedłem na dół i otworzyłem, niech się dzieje wola boska. W drzwiach stał Maciej. Był, tak jak ja, średniego wzrostu, ale szczupłej budowy. Miał na sobie dresy, które zawsze wkładał po pracy. Czarne włosy, zwykle starannie uczesane, rozdzielone wyraźnym przedziałkiem po prawej stronie, były tym razem w nieładzie. Na nogach miał szare tenisówki z niezawiazanymi sznurowadłami. Pod lewym okiem widoczna była spora opuchlizna, która szybko rosła, ciemniejąc jednocześnie. Wargi mu drżały, oczy błędziły nerwowo po mojej twarzy. To był zupełnie inny Maciej niż ten, którego dotąd znałem. Czułem instynktownie nadchodzącą burzę.

– Co ty sobie myślisz, skurwysynie! – wrzasnął. – Co ty sobie myślisz, skurwysynie! – wrzasnął powtórnie, nie mogąc być może w kolejnych przypiływach wściekłości, znaleźć innych sformułowań.

– Ty chcesz, skurwysynie, kupić ode mnie drewno na opał?! – ryczał dalej.

Twarz zaczęła mu sinieć, a ja szybko przymknąłem drzwi, zakładając łańcuch.

– Mordę ci obiję, ty kurwo! – ryczał dalej przez szparę w drzwiach.

Musiałem zacząć działać, ponieważ sytuacja rozwijała się szybko w niebezpiecznym kierunku. Nie mogłem go wpuścić w tym stanie do środka, a więc pozostała tylko możliwość prowadzenia rozmowy przez uchylone drzwi, ograniczone założonym przeze mnie w ostatniej chwili łańcuchem.

– O co chodzi? – zapytałem rzeczowo, zdając sobie jednak sprawę, że Maciej może nie usłyszeć pytania, ponieważ ryczał dalej, obzuczając mnie wszelkimi możliwymi wyzwiskami. Jak długo można jednak krzyczeć. Po dobrej chwili słyszałem tylko sapanie, a potem już spokojniejszym głosem Maciej zapytał: – Coś ty, ścierwo, nagadał mojej żonie? Co za bzdur jej naopowiadałeś, że dom ma być zlicytowany, że mamy niespłacone długi! Coś ty, durniu, nawymyślał?!

– Nie bardzo wiem, o co chodzi – zaoponowałem nieśmiało. – Przecież chyba wiesz o licytacji.

– O jakiej, kurwa, licytacji! – ryknął Maciej, zebrawszy na nowo siły.

– O licytacji twojego domu, za dwa tygodnie – odpowiedziałem, dodając po sekundzie: – W ratuszu, w sali numer dwa.

– Naucz się czytać, ty baranie, jeszcze się policzymy – wrzasnął Maciej, a przez szparę w drzwiach wleciała miejscowa gazeta, z zakreśloną na czerwono rubryką o mających się odbyć w najbliższym czasie licytacjach. Słyszałem, jak odchodził, plując dalej przekleństwami i epitetami pod moim adresem. Zamknąłem i zaryglowałem drzwi. Cały wieczór zmarnowany. O spaniu nie było już mowy. Podszedłem do barku, wlałem sobie do kieliszka duży koniak i wypiwszy go jednym haustem, wziąłem do ręki gazetę. Po krótkiej lekturze wszystko było jasne. Gustaw pomylił adresy. Zlicytowany miał być faktycznie wolnostojący dom z garażem, wielkość działki też była podobna, tylko adres się nie zgadzał. Dom do licytacji nosił adres Duszyńskiego 9, mój sąsiad mieszkał przy ulicy Daszyńskiego 9. Kiepska sprawa. W tym momencie poczułem się strasznie paskudnie, jak ostatni łach. Ty, człowiek na poziomie, wykrećasz takie numery, rozsiewasz nieprawdziwe wiadomości i ryzykujesz obicie mordy, a wszystko przez zachłanność i chęć łatwego zarobku. Tak traci się dobrych sąsiadów. Tu nie pomogą na razie żadne kwiaty ani dana w prezencie butelka wina. Nie ma co, trzeba będzie poczekać. Czas goi rany.

Następnego dnia wyszedłem przed dom i zobaczyłem Gustawa. Podniósł do góry rękę w powitalnym geście. Odwróciłem się i po-



szedłem do ogrodu. Dzisiaj nie miałem chęci na żadne konwersacje ani nowości z okolicy.

## WYBÓR DO KOŃCA ŻYCIA

– Czy życie nie jest piękne? – zapytał Jan swoją żonę, stojąc przed ich własnym, nowo wybudowanym domem. Bezchmurne niebo połyskiwało lazurowym błękitem, a promienie słońca odbijały się jasną luną od małego jeziora leżącego w głębi doliny.

– Życie jest piękne, naprawdę piękne – odpowiedziała jego małżonka. Trzymali się za ręce i cieszyli się kolejną szczęśliwą chwilą ich życia. Swoją egzystencję budowali wspólnym wysiłkiem przez wiele lat i nareszcie osiągnęli cel. Powodziło im się nad podziw dobrze. Spłacili długi, cieszyli się dobrym zdrowiem, byli w trakcie realizowania swoich marzeń. Nic dodać, nic ująć.

– Tam, z prawej strony, koło płotu będziesz musiał posadzić jeszcze kilka krzewów – zauważyła żona, będąc z natury dokładną osobą, rozmiłowaną w porządku i ładzie.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedział Jan, szybując myślami zupełnie gdzie indziej, gdzieś daleko, wśród nowych pomysłów, przesuających się leniwie przez jego głowę.

Tak mijały dni wypełnione rozkoszowaniem się naturą, niezależnością finansową, którą sobie wypracowali, ustawianiem i przedstawianiem nowych mebli, dyskutowaniem o nowych pomysłach ogrodniczych. Poznawali swoich nowych sąsiadów i zwiedzali nieznanne im do tej pory okoliczne miasteczka i wioski.

– Czy nie jesteśmy szczęśliwi? – pytał retorycznie Jan, pijąc czerwone wino na tarasie z widokiem na jezioro.

– Ależ tak, kochanie – odpowiadała jego żona, przeciągając się na leżaku w promieniach słońca.

Pewnego ranka Jan, przygotowując się jak zwykle do porannego biegu, który zapewniał mu, jak twierdził, krzepkość ciała i elastyczność mięśni, wpadł na nowy pomysł.